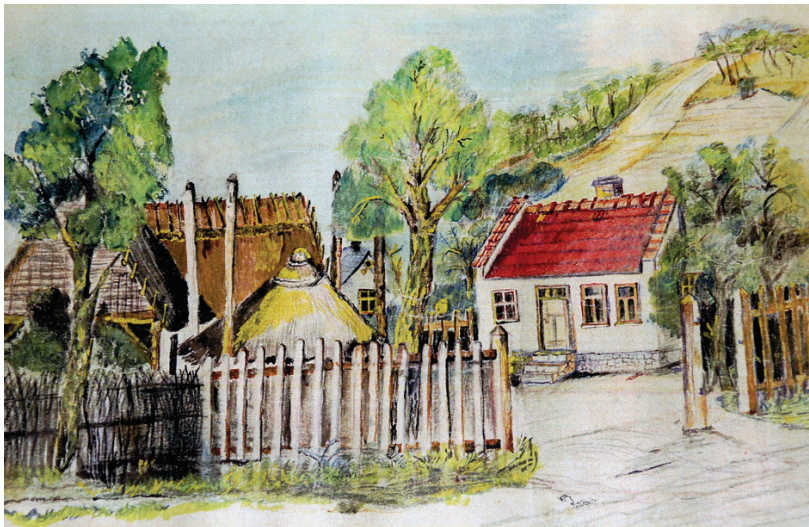


# Zieleniów - wspomnienia z rodzinnej wsi

Antoni Lach

Mam napisać wspomnienia z rodzinnej wsi, z tego co zostało mi w pamięci, na prośbę siostrzeńca Janusza. Wspomnienia te nie mogą być podparte jakimkolwiek dokumentem bądź zdjęciem, bo ich po prostu nie mam. Będą one tylko tym co zostało w pamięci z lat i wrażliwości dziecięcej, a niektóre chwile pozostaną już razem ze mną do końca.

Zieleniów to wieś na kresach południowo - wschodnich, w województwie stanisławowskim, powiat Rohatyn (gm. Łopuszna). Położona w kotlinie, otoczona z trzech stron wzniesieniami, opadającymi łagodnie ku dolinie. Posiadłość rodziców położona była jak gdyby pośrodku tej doliny. Zabudowania były nowe i składały się z domu mieszkalnego krytego czerwonymi dachówką, obory i stajni z pomieszczeniem na siano na górze z jednego końca, które było podpiwniczone oraz ze stodoły. Powiedziałem - dom kryty dachówką, ponieważ z domów krytych materiałami trwałymi pamiętam tylko nasz oraz Holotów i Kupczaka krytych blachą. Reszta to strzechy.



/ Domostwo Lachów. Obraz namalowany po wojnie przez Andrzeja Kielbasę, niedawno odnaleziony

Wieś zamieszkiwali Polacy i Ukraińcy. W jakich proporcjach - tego nie znam. Nie znam również sposobu zasiedlenia się Polaków. Z Ukraińców pamiętam jedynie naszego sąsiada, z którym nasze rodziny się przyjaźniły i który wiele dobrego uczynił dla Polaków. Uprowadził o planowany akcją przeciwko Polakom a nawet, w najgorszych czasach przechowywał Polaków. Z tego co wiem od Marysi Kupczak, ją właśnie jakiś czas ukrywał, kiedy została sama.

Rodzice zajmowali gospodarstwo rolne o powierzchni 8 mórg (około 4-5 ha). Ojciec ponadto zajmował się i innymi zawodami. Prowadził stolarnię podobno, to wiem z opowiadań starszych, prowadził również sklep. Życie na wsi, jak to w tamtych czasach bywało, nie było łatwe. Żadnej mechanizacji. Siła pociągowa – koń, którego nie każdy posiadał. Urządzenia do uprawy to plug, brony, kierat, siewczarnia i przysłówkowa kosa, sierp i motyka. Kto tylko był w rodzinie, musiał pracować w gospodarstwie. A praca nie była łatwa, o jej łatwa. Dzieci jak tylko mocniej stanęły na nogach,

już musiały pasać gąski, później krówki, zbierać kłóska na ściemniku i to na bosą! U nas wspomniane urządzenia i siła pociągowa były. Koń był jeden, ile była – nie pamiętam, ale chyba dwie krowy, trzoda i drób.

Ziemie orną mieliśmy w trzech miejscach. Jedną część stanowił spory ogród położony za stodołą i sięgał za nią do następnych zabudowań, a za oborą dochodził do podnóża wznieślenia obok Kupczaków i do tzw. górnej drogi (patrz szkic). Druga część na płaskowyżu, na wznieśieniu za Kupczakami, trzecia część i kawałek lasu za siedzibą Holotów, do którego prowadziła głęboka droga, biegnąca u podnóża wznieślenia. Droga ta w kierunku północnym prowadziła na Podwysokie i Łopuszne. Od tej drogi prowadziła odnoga do siedziby Koźlików.

Siedziba Koźlików położona była u południowego wznieślenia, gdzie obok wybijało źródło wody z opoki, która wodnym strumykiem płynęła prosto do naszego zasiedlenia i stanowiła nasze zaopatrzenie w wodę. Woda pobierana była z zagłębienia ocmobrowanego a przepływ płynął dalej i znikał gdzieś

no tkano przez jesień i zimę, a wiosną bielono. Obejście Koźlików było w niewielkiej odległości od nas i było doskonale widoczne, natomiast obejście Holotów zniknęło za zakrętem, i nie było widoczne z naszego obejścia.

Życie na wsi – jak to na wsi, przebiegało rytmem kalendarza. Niektóre momenty prac rolnych były wręczegiem w życie mieszkanców wsi, i wiele tych prac wykonywanych było we wspólnym działaniu i wspólnym towarzyszeniu. Ci, którzy mieli konia, a szczególnie jednego, to szukali wóspólnika i „sprzęgali” się aby mieć większą siłę pociągową. W taki sposób głównie robiono orkę, zwózkie zboża czy ziemiopłodów. Siew wykonywano ręcznie z płachty. Żniwa wykonywano ręcznie – kosą i sierpem. Zboże wiązano w snopy, układano w kupki w rzędach, a następnie wożono do stodoły, gdzie czekało na młóckę. Młócono dwoma sposobami. Była - nie wiem u ilu gospodarzy - młocarnia nazywana bębnowa, napędzana kieratem, bądź siłą ludzką. Ludzka siła to ośmiu mężczyzn uczepionych do korb na kołach po obu stronach maszyny, i poruszająca w ten sposób młocarnię. Ciężka to była praca

W pomieszczeniach – w izbach, gdzie odbywały się te prace, zawsze gromadziła się młodzież, chłopcy i dziewczęta i oczywiście żartów, zabaw i dowcipów było wiele, ale nade wszystko śpiew.

Moje dzieciństwo i życie w Zieleniowie przypadało na okres trochę wolnej Polski, do 1939 r. następnie okupacja sowiecka do 1941 r. i niemiecka pod okupacją Ukraińcy spod znaku UPA. Wejścia i okrajańcy sowieckiej bezpośrednio nie pamiętam, byłem za młody, wszak urodziłem się 8.06.1935 r. – a zatem miałem zaledwie cztery lata jak wybuchła wojna. Pamiętam natomiast wejście Niemców w 1941 r. Do wioski wjechali na motorach, pistolety maszynowe przewieszone przez szyję, rękawy podwinęte i wyglądali bardzo butni. Wcześniej na niebie pojawiło się mnóstwo samolotów, a ryk ich motorów wywoływał panikę i chowałośmy się po różnych zagłębieniach, a tu na podwórku dobijano krowę, która uległa wzdęciu, i to dla mnie było dodatkowym strachem i przerażeniem. Ten widok stoi mi przed oczyma do dziś. Ukraińców pamiętam doskonale i pamiętałem będę do końca mych dni, bo tego zapomniać po prostu się nie da. Ale o tym nieco dalej.

Rodzeństwa było nas sześcioro, pięciu chłopców i jedna dziewczyna o imieniu Zosia -bardzo przez nas lubiana, ale ja podobno lubiłem jej dokuczać i psuć wszystkie posiadane zabawki. Nawet kupione laleczki, czasami wymuszano aby mi je dano, a ja za młotek, laleczkę na pieniek i po główce – tak podobno robiłem, bo o tym dość często mi przypominano. No cóż, jeżeli to prawda Zosiu kochana, przyjmij przeprosiny nawet tam w górze. Pozostałe rodzeństwo to według wieku: Michał, Zygmunt, Mietek, Zosia, Antek i Adaś. Podobno był jeszcze najmłodszy Bartek, ale niestety zmarł. To wiem z relacji starszych. Ojca nie bardzo pamiętam, ale dwie scenki z życia z ojcem stoją mi przed oczyma. Jedną to kiedy ojciec zabrał mnie z sobą do Brzeżan, na jakiś odpust, a kiedy oprowadzał mnie po straganach, to mu się kilka razy wymykałem, a kiedy w końcu zostałem uchwycony i posadowiony na wozie, w drodze powrotnej to otrzymałem odpowiednią reprymendę słowną, no i oczywiście przez kolano. Druga scenka, kiedy to ojciec posadził mnie na kolanach, coś do mnie mówiąc zdjąć z pleców zawiązany węzełek, wyjął pieczonego ziemniaka i dał mi go do zjedzenia. Oj jaki był smaczny. Dzisiaj wiem, że było to ostatnie pożegnanie z ojcem. Ponieważ odchodził na mobilizację do wojska, z którego już żywy nie wrócił. Zabili go Ukraińcy i nie tylko jego. Ojciec wracał z grupą innych żołnierzy już zdemobilizowanych i niedaleko Zieleniowa zostali schwytani przez upowców i w okrutny sposób zamordowani. To wiem od starszych, głównie od Andrzeja Kielbasy, który często mi mówił:

„oj Antośku nie masz ty już taty, zabili ci go banderowcy, my wiemy kto to zrobił”

[Wojciech Lach stawiał się na mobilizację do Rohatyna, ale tam już punkt mobilizacyjny nie działał. Pojechał zatem do Brzeżan i tam został wcielony do jednostki ochraniającej transporty kolejowe z zaopatrzeniem. Często przejeżdżał przez Podwysokie, ale nigdy nie udało mu się zejść do domu. Ostatni list rodzina otrzymała z miej-

scowości Litiatyn, poprzez innego żołnierza. Jak mówi rodziny przekaz - wracając do domu po demobilizacji został pochwycony na krańcu wsi i zamordowany przez Ukraińca o nazwisku Hołubiec - przyp. J.O.]

Tak zostaliśmy sami z matką na gospodarstwie w Zieleniowie. Życie płynęło swoim rytmem, opisanym wyżej, aż nadszedł rok 1943 – rok okrutny i straszny. Chciałoby się rzec – o roku 1943, kto cię widział! Najpierw głód. Niemcy ze swoją skrupulatnością na wiosnę, na przeduroku realizowali swój program poboru kontyngentów. Wymiatali z gospodarstw wszystko, co się nadawało do jedzenia, a ludności nie zostało nic. W taki oto sposób wprowadzili głód na Podolu, to i oczywiście dotknęło nasza wioskę i rodzinę. Nie było innej rady jak tylko spożywać zielone rośliny, jak pokrzywa i lebiada, bo te są najbardziej do przyjęcia, a kiedy one się skończyły, zaczęto spożywać wszystko to co było pod ręką, a właściwie pod buzią. Pamiętam z wielką wyrazistością te chwile, kiedy żołądek niemiłosiernie ssał, a tu nic. Zaczęłam puchnąć. Kiedy próbowano mi wskaść liście podbiału to mimo, że już puchłem z głodu, odrzucało mnie to, zapach i swoisty smak tego ziela powodował mi torsję, ale czym? Powodowało to tylko dodatkowe cierpienie. U ciotki Kielbaski zaczęły dojrzewać częściej zwane trześniami. Pamiętam, brat Mietek zanosił mnie tam bo już nie chodziłem, a Tadzio Kielbaska rwał bardziej dojrzale i karmili mnie nimi jak ptaszka. Zaczęłam dochodzić pomalą do siebie. Po jakimś czasie musialem przechodzić męki spowodowane jedzeniem częściej – opróżnianie się. W tym pomagał mi brat Michał, pomagając patyczkiem. Dzisiaj wiem czemu tak się dzieje w organizmie, po przeczytaniu „Inny świat” Grudzińskiego. Taki stan głodu w rodzinie dotknął tylko mnie. Po częstych powoli dochodzić zboża, warzywa i głód powoli zanikał.

Głód powoli zanikał, a na horyzoncie pojawiać się i pomrukiwać zaczynała inna zaraza – pogromy ukraińskich banderowców, bo taką nazwę powszechnie się słyszało. Początkowo były to tylko słowne wiadomości, wreszcie zaczęły dostrzegać wieziorami łuny pożarów i strzały. Pamiętam jak wspomniano o okrutnej rzezi Polaków w Podhajcach. Wreszcie rzeczywistość ta wkroczyła i do naszej wsi. Został zamordowany kuzyn Józef Orlicki. Zaczęliśmy się ukrywać, szczególnie na noc. Latem i wczesną jesienią chowano się różnie po polach, wszelkich zakamarkach gospodarczych, po piwnicach. Pamiętam nocne przebywanie w piwnicy z ziemniakami, po wyjściu z której nie można było w ogóle chodzić, zawroty głowy, przewracanie się. Trzeba było zrygnąć z tej kryjówki. Podobno ziemniaki wydzielały jakąś substancję, która takie objawy powoduje. Kiedy nadszedły chłodniejsze dni i zima, trzeba było zmienić formę ukrywania się. Pamiętam, że zaczęto organizować wspólne przechowywanie się, a raczej ochronę. Polegało to na tym, że w wybranych domach nocowały kobiety z dziećmi, a mężczyźni i starsza młodzież czuwała nad ich bezpieczeństwem i miała ich bronić w razie ukraińskiego napadu. Bronić – brzmie dumnie, bronić – ale czym? Nie pamiętam aby na wsi kto-

# Moje Wasylkowce

Edmund Kunicki

kolwiek miał broń palną, jedynie u Wilczków pamiętam strzelbę myśliwską. Widziałem natomiast szable no i oczywiście odpowiednio dostosowane narzędzia gospodarcze, przede wszystkim widły. Bardzo wyraźnie pamiętam także jedno wspólne przebywanie u ciotki Natalki Kielbasy.

Jest to dla mnie nie w pełni zrozumiałe, że mimo zgrozy jaka panuje wokół, ludzie znajdują czas i chęć na szukanie uciechy (a może ucieczki) w alkoholu – bimbru! Tak było u Ciotki, a ponieważ byłem młodym i nie doświadczonego, więc poproszono mnie abym obsługiwał całą maszynę bimbrowniczą. Wydał mi odpowiednio instrukcje: Antosku, to się miesza tak, ogień musi się palić aby brocha odpowiednio parowała, tu się podkłada butelki, pierwsze krople trzeba na łyżce zapalić, itp. itd. Antosik to wszystko skrupulatnie robił, ale zaczął i próbować i... budzi się, nie wie zrazu gdzie jest. Po jakimś czasie orientuje się, że jest pod łóżkiem w słonie, potwornie zimno, drzwi do sieni i na dwór skrzypią, na wołanie mammo, mammo nikt się nie odzywa, w oknie widzę jakąś głowę w baranicy, nikt inny tylko banderowiec, zgroza. W końcu jednak wychodzę spod tego łóżka, wychodzę na dwór, śnieg zdeptany, czarny od sadzy. Patrzę obok, są siedzi spaleni, tzn. stodoła, obora, dom. Od razu strach i przerażenie jak zobaczyłem kilka husek karabinowych i wtedy zacząłem głośno płakać i wołać: mammo, mammo i innych po imieniu i ku mojej wielkiej radości zaczęli pojawiać się swoi z kryjówek jakże znaleźli. Był to napad Ukraińców na Zieleniów. Jak styszałem z ust starszych, mieliśmy wiele szczęścia w tym niebezpiecznym, ponieważ Ukraińcy zauważyli duży oddział partyzantki radzieckiej, przemierzającej się wzgórzami i szybko się z Zieleniowa wycofali po spaleniu kilku obieków, nie zdążając zająć się krwawą robotą.

Po tym zdarzeniu praktycznie przestał się nocować w wiosce, a nocowaliśmy na stacji kolejowej Podwysokie, oddalonej o 3 – 4 km, dokładnie nie wiem. Stacja ta była bezpiecznym schronieniem ponieważ stacjonowało tam wojsko niemieckie i nasi Madziarzy – Węgrzy. Było to dość ciężkie chodzenie tam i z powrotem na co dzień. I z tym chodzeniem też mam ciężkie wspomnienie. Któregoś ranka mama wzięła Michasia i mówi do nas, że pójść do wsi zobaczyć co z gospodarstwem, dadzą jeść inwentarzowi i wrócą po nas. Dość długo nie wracali, to Mietek, Czesiek Orlicki mówią, że pójść za nimi i że ktoś po nas wróci. Znowu jakiś czas nikt nie wraca i w końcu Zosia, ja i Adaś – i my idziemy do Zieleniowa. Bohaterowie z bożej łaski. Zima, śnieg po pachy, Adaś najmłodszy – 5 lat iść nie może. Biedna Zosia bierze go na plecy, też ustaje. Chcę Jej w tym pomóc, lecz za długo nie mam sił i tak ciągniemy się do tego Zieleniowa, nie wiedząc już ze zmęczenia i zmarznięcia gdzie jesteśmy. Okazało się, że dobiegliśmy na skraj Zieleniowa i zauważyła nas jedna z dziewcząt Kupczaka, która po wyjściu za mąż tam mieszkała. Przymięła nas do siebie i troskliwie się nami zajęła. Okazało się, że aż za troskliwie. Akurat gotowała ziemniaki i chcąc nas rozgrzać – rozgrzewała tymi ziemniakami. Sprawilo to nam przegromny ból, a szczególnie u palców pod paznokciami. Ale chciała jak najlepiej i Bóg jej za to zapłać!

Na terenach wschodnich działała RGO – Rada Główna Opiekuńcza,

ką którą głównie zajmowała się opieką poszkodowanych. Dzięki działalności tej organizacji udało się dla wielu ludzi znaleźć lokum w miastach i ująć z życiem, pozostawiając swój dobytek losowi. Któregoś dnia mówi mama do Korosieja, naszego sąsiada Ukraińca, bardzo dobrego człowieka: no Korosieju, bierz to wszystko i opiekuj się tym jak tylko potrafisz, może jeszcze w życiu się spotkamy. Nie spotkali się. A my z mamą i pięcioro dziećmi, bez Zygmunta, który wcześniej został zabrany na roboty do Niemiec [patrz przyp. J.O. poniżej], udajemy się na stację na Podwysokie i do Stanisławowa. Jest zima 1943/44. Siedząc w przedziale chucham w szybę w kwiatkach ustrojona przez mróz, aby przez otwór dziurkę pożegnać rodzinne strony i udać się w nieznaną. Ale to już inna historia.

Antoni Lach Kamień Pomorski, sierpień 2010 r  
Przypisy Janusz Oraczewski, twórcą strony: <http://zieleniow.home.pl/page2.php> na którą zaprasza:

Strona ta jest moim skromnym wkładem w zachowanie pamięci o miejscowości Zieleniów. Ta mała wioska, zagubiona wśród zielonych pagórków zachodniej Ukrainy, była świadkiem tragicznego losu polskiej ludności. Obawa przed banderowskimi oprawcami, którzy nocą przychodzili palić i mordować, wywozić sowieckie i niemieckie, sierocińce, a potem przesiedlenia na ziemie odzyskane, rozrzucili ich po całym świecie. Ludzie ci zasłużyli na to, by ich historia przetrwała jak najdłużej. Historia także nasza - bo to nasi Ojcowie i Matki.

Do niedawna Zieleniów był dla mnie tylko tajemniczym słowem z rubryki "miejsce urodzenia" w dokumentach mojej Matki. O pojechaniu do Zieleniowa nigdy wcześniej nie mówiło się w mojej rodzinie. Być może z powodu bolesnych skojarzeń, a być może dlatego, że leżał on teraz na niezbyt dostępnej i gościnnej ziemi. Pod koniec swego życia, Mama na pomysł wyjazdu reagowała z typowym dla niej żartobliwym sarkazmem ale i z sentymentem. Pomysł, a właściwie decyzja o pojechaniu tam zapadła spontanicznie podczas Jej pogrzebu, w listopadzie 2008 roku.

Pragnieniem każdego człowieka jest powrót do miejsc i czasów dzieciństwa. Dotknięcie ziemi w miejscu gdzie stał dom rodzinny tworzy magiczną więź z bliskimi, których już nie ma. Nie zdążyłem zabrać tam Matki gdy żyła. Nurt bieżących

spraw nie dał okazji i odpowiednio właściwego czasu by tam pojechać. Ale w moim życiu nadszedł czas, w którym przeszłość nabiera coraz większego znaczenia. Pojechalśmy tam zatem by odnaleźć miejsce gdzie stał ich dom.

Pierwsza wyprawa do Zieleniowa odbyła się w lipcu 2009 r. Wzięli w niej udział (oprócz mnie) dwaj bracia mojej mamy - Antoni oraz Adam z żoną Stefanią i wnukiem Krzysiem, mój ojciec i brat Andrzej. Jednak pomimo wielu starań, emocji i wzruszeń, nie udało się jednoznacznie ustalić gdzie stał ich dom. Wszystko się zmieniło. Wielokrotne palenie wioski przez bandy UPA, działania wojenne i sowiecka władza, skutecznie pozacierła ślady polskich domów. A oni byli wtedy kilkuletnimi dziećmi. Przebyski pamięci mieszały się z emocjami i zasłyszczanymi opowieściami.

Druga wyprawa miała miejsce we wrześniu 2011 roku. Tym razem pojechało trzech Lachów: Mieczysław (najstarszy) z wnukiem Grzegorzem, Antoni z córką Elwirą, Adam z żoną Stefanią i ja. Tym razem pierwsze wrażenie było - to nie tu! Ale po chwili pamięć zaczęła powracać. Wśród rozgorączkowania i emocji zaczęły padać konkretne nazwiska, miejsca, zdarzenia. To tu stał ich dom. Pamiętkowe zdjęcia, zebranie ziemi do woreczków, rozmowy z mieszkańcami. Wśród młodszych zapada decyzja: tę wyprawę trzeba będzie powtórzyć. Ktokolwiek odwiedzi tę stronę, i cokolwiek pamięta lub wie - niech dokłada cegiełki do tej opowieści o tych czasach tragicznych i ludziach wspaniałych, o naszych korzeniach. Być może uda nam się uchronić od całkowitego zapomnienia ICH Zieleniów. Niech ta strona będzie miejscem, gdzie historia Zieleniowa ożyje.

Dziś patrzymy inaczej na wydarzenia sprzed lat. Jadąc na Ukrainę nie szukamy zemsty. Nie chcemy odbierać "naszych" ziem. Chcemy jedynie popatrzeć na zielone pola oczyma naszych przodków i czuć czysty wiatr, który unosi ich dusze - jak sokoty.

Zapraszam do wspólnego pisania tej historii. Pamiętamy gdzie stał dom rodzinny, może także Wasz dom.

J. Oraczewski, Kraków



Z powiatowego miasteczka Kopyczyńce do nadgranicznego Husiatyna prowadził gościniec, który w polowie drogi przecinał głęboki jar na którym okrakiem rozłożyła się wieś Wasylkowce. Jar dzielił się na kilka odnóg i był podobny do ręki z rozłożonymi palcami. Niektóre odnogi jaru były kręte i strome, a padające deszcze i potoki wyłobily w lessowej glebie głębokie rowy. Takimi jarami można było chodzić tylko latem gdy słoneczne promienie dotarły do dna i wysuszyły błoto; za to zimą zamieniały się w wspaniałe tereny saneczkowe. W wiosce drogi biegly dnem jaru i często z ulicy na ulicę trzeba było jechać pod górkę lub z górki. W kilku jarach był sadzawki z zimną źródlaną wodą dające początek strumykom, które w środku wioski tworzyły mały potok. Jednym z takich jarów biegła ulica, którą miejscowi nazywali cerkiewną - bo prowadziła do prawosławnej świątyni. Przy niej na pochyłym zboczu usadowił się nasz dom. Z jednej strony opierał się o zasadzony przez dziadków stary sad wiśniowy, mając po bokach ogrody warzywne, a przed sobą trawiaste podwórkó i dalej aż do granic posesji grządki z kwiatami - dumą i radością mamy. Dom był stary ale wygodny bowiem przez lata gotowano go do potrzeb i gustów jego mieszkańców. Przed wejściem był ganek nakryty dachem wspartym na drewnianych filarach. Kiedy Słońce zaszło i upał przestał doskwierać rodzice przychodzili tu odpocząć. Wieczorem wraz z Słońcem odchodził wiatr, a z nim także wioskowy gwar i cisza nakrywała wioskę. Ludzie i przyroda odpoczywały po znojnym, upalnym dniu. Czasami w takie wieczory, kiedy niebo rozświetliło się gwiazdami, ktoś gdzieś

stare lipy, którymi była obsadzona droga do cerkwi i pszczoły miały blisko do kwiecica. W takie dni, kiedy Słońce mocno już grało, kładłem się na trawie blisko drzew i uli by obserwować jak pszczoły pracownicze zbierały kwiatowy pyłek. Przed domem mama miała swój ogród. Rosły tam różne kwiaty i ziola. Nie było lepszego upominku jak dać mamie jakąś nową roślinkę lub sadzonkę kwiatka. Znajomi i krewni znali matczyną słabość dzięki czemu w ogrodzie rosło wiele rzadkich okazów roślin i kwiatów o oryginalnych kształtach i kolorach. Dla przyjaciół mama wykonywała piękne bukiety ślubne. Na skraju wioski od strony Kopyczyńca znajdowała się stacja kolejowa z poczekalnią i mieszkaniem na piętrze kolejarza o nazwisku Piasecki. Budowa Kolei znacznie zaktywizowała życie gospodarze tego rejonu. Po okresie żniw i zbiorów plodów na stacji zawsze stały wagony na które ładowano zboże, buraki, kukurydzę. Kolej także aktywizowała życie młodzieży. Stacja była miejscem spotkań w godzinach przyjazdu pociągu. Można było zobaczyć kto wyjechał, a kto do kogo przyjechał. Lokomotywa prowadziła cztery wagony z tego trzy osobowe trzeciej klasy z jednym przedziałem drugiej i jeden wagon towarowy dla przesyłek bagażowych. Prawdopodobnie końcówka budowy linii transwersalnej i końcówka budżetu wpłynęły na kształt jej przebiegu. Budowano bardzo oszczędnie, luki miały małe promienie i oszczędzano na niwelacji terenu. Z tego powodu pociąg rzadko przekraczał prędkość 30 kilometrów na godzinę. Charakterystycznym dla tego rejonu był wycyzak obsadzania drzewami toru kolejowego po obu jego



/ Stacja kolejowa Wasylkowce dziś Foto.: M. J. Janowscy 05.06.2006 r.

zaintonował pieśń - ukraińską dumkę. Po chwili do solistki dołączył się kolejny pieśniarz, a potem następny i następny. Tęskna pieśń biegła przez wieś. Spiewali wtedy wszyscy: starzy i młodzi. To były wspaniałe, niezapomniane wieczory. Dom od ulicy i sadu był obrośnięty „winem” aż pod strzechy. Krzewy winorośli były gęste i dawały schronienie licznym koloniom wróbli, które miały tu swoje gniazda. Wróble rodziny stały się moją codzienną troską gdyż o tym, że one tam są wiedziałem nie tylko ja ale wiedziały także koty z okolicy. Robilem na nie zasadzki i gonilem je z psem Jurkiem z niewielkim skutkiem gdyż niemal co rano spotykałem pierze nowych ofiar. Co roku w polowie kwietnia w sadzie ustawiano ule ciotki Karoliny. W tym czasie drzewa kwitły, a sad wiśniowy był biały od kwiatów. Potem kwitły

stronach. To co w innych częściach kraju stosowano dla dróg bitych tutaj zastosowano dla kolei. Może chodziło o zmniejszenie ryzyka następny. Spiewali wtedy wszyscy: starzy i młodzi. To były wspaniałe, niezapomniane wieczory. Dom od ulicy i sadu był obrośnięty „winem” aż pod strzechy. Krzewy winorośli były gęste i dawały schronienie licznym koloniom wróbli, które miały tu swoje gniazda. Wróble rodziny stały się moją codzienną troską gdyż o tym, że one tam są wiedziałem nie tylko ja ale wiedziały także koty z okolicy. Robilem na nie zasadzki i gonilem je z psem Jurkiem z niewielkim skutkiem gdyż niemal co rano spotykałem pierze nowych ofiar. Co roku w polowie kwietnia w sadzie ustawiano ule ciotki Karoliny. W tym czasie drzewa kwitły, a sad wiśniowy był biały od kwiatów. Potem kwitły